



Wiadomość wydrukowana ze strony: www.przekroj.pl

TEN PAZERNY CHIŃSKI ROBOTNIK

Rafał Kostrzyński

Przemysł zabawkarski w Państwie Środka to dość perwersyjna wielopiętrowa symbioza. Wszyscy wykorzystują wszystkich i dzięki temu jako się kręci. Każdy chiński pluszak jest owocem tej dziwnej miłości. Warto o tym pamiętać w okresie przedświątecznym



W Chinach łatwo jest zostać tanią siłą roboczą. Wystarczy krótka rozmowa ze strażnikiem przy głównej bramie fabryki. On wie, jak pomóc. Wykonuje szybki telefon i po chwili zjawia się ktoś z działu rekrutacji. Do Zhanga, który chciał się zatrudnić w Champion Crown Industries, przyszła młoda dziewczyna. Nie zajęła mu dużo czasu. Po dwuminutowej rozmowie i szkoleniu z BHP (sprowadzającym się do poinformowania o zakazie blokowania drogi ewakuacyjnej) Zhang dostał do podpisania umowy.

Winien jest fabrykant

Champion Crown Industries mieści się – jak znakomita większość chińskich fabryk zabawek – w Shenzhen na południu kraju. Na swojej stronie internetowej chwali się dwiema rzeczami – certyfikatem ISO 9001 2000 (więc teoretycznie spełnia światowe standardy jakości i traktowania pracowników) oraz nastawieniem na wydajność. Z umowy podsunętej Zhangowi wynika, że to nastawienie jest jak najbardziej serio – dzień pracy zaczyna się o 7, a kończy o 22, przy czym ostatnie cztery godziny to nadgodziny. Są obowiązkowe. Nie ma ich tylko w niedzielę, kiedy to praca kończy się o 18. Zhang liczy – w miesiącu będzie musiał wyrobić 100 nadgodzin, a więc trzy razy więcej, niż przewiduje prawo. Dzięki temu zamiast 900 juanów normalnego wynagrodzenia będzie mógł zarobić nawet 2000 (900 złotych).

Teoretycznie. Praktycznie – na pewno mniej, bo kierownictwo wyliczy mu wynagrodzenie albo na podstawie wykonanej pracy, albo czasu spędzonego przy stanowisku, w zależności od tego, co będzie korzystniejsze dla firmy.

Zhang jest agentem China Labor Watch (CLW) – organizacji zajmującej się monitorowaniem przypadków łamania prawa w chińskich fabrykach. Ma do wykonania szpiegowskie zadanie – opisać warunki pracy w Champion. Tylko dlatego podpisuje umowę. To jedyny sposób, by zobaczyć, jak naprawdę wygląda sytuacja chińskich robotników. Oni sami się nie poskarżą, właściciel fabryki też nie przyzna się do łamania prawa. Z kolei kontrolerzy rządowi przymkną oko w zamian za łapówkę.

W trosce o jego bezpieczeństwo zmieniam mu imię i nie pokażę jego twarzy.

Zhang zaczyna pracę od pakowania breloczków do torebek foliowych. „Obijacie się – słyszy od kierowniczkę zmiany. – W ciągu godziny macie zrobić 350 sztuk. Kto nie zdąży, zostanie po fajrancie”.

Siedem sekund na sztukę. Zhang nie zdąża.

W fabryce Hengtai w mieście Pinghu na południu Chin kolega Zhanga, Li (imię też zmienione), pakuje okulary do oglądania filmów 3D. Przy taśmie pracują 32 osoby, każda ma osiem godzin, by zapakować 4800 sztuk tych okularów. Udaje się tylko trzem. Reszta ma dwa wyjścia – dokończyć pracę po godzinach albo pożegnać się z częścią pensji.

Nikt nie odchodzi od stanowiska. „Liczy się tylko jedno: zarobić jak najwięcej” – napiszą działacze CLW w swoim raporcie. Tak działa ten system; chodzi o to, by pracownik sam chciał być jak najbardziej wykorzystywany. Domagał się nadgodzin, bo za pracę w normalnym wymiarze nie utrzyma rodziny (tym bardziej że firma potrąca około 200 juanów za wyżywienie, nocleg i wodę pitną). Rezygnuje też z ubezpieczenia medycznego, bo dzięki temu sto juanów trafia do jego kieszeni. I nie lubi, gdy aktywiści w rodzaju Zhanga zaczynają dbać o jego prawa – bo im więcej praw, tym mniej pieniędzy.

W okolicach Shenzhen jest kilka tysięcy fabryk. Niezależni działacze z takich organizacji jak CLW czy SACOM (Studenci i Wykładowcy Przeciw Korporacyjnym Nadużyciom) są w stanie sprawdzić najwyżej kilka rocznie. Lista nadużyć zawsze wystarcza do sporządzenia wielostronicowych raportów. Podstawowa pensja nawet w najlepszych fabrykach nigdy nie jest wyższa od minimalnej, która w Shenzhen wynosi 1000 juanów (450 złotych). Czas pracy jest zawsze o wiele dłuższy od dopuszczalnego (40 godzin w tygodniu, 36 nadgodzin w miesiącu), a nadgodziny przeważnie nie są dodatkowo opłacane. O innych uchybieniach (choćby w zakresie bezpieczeństwa pracy czy opieki medycznej) nie ma nawet sensu wspominać.

– Warunki w fabrykach produkujących na zamówienie największych światowych korporacji, jak Disney czy Mattel, wcale nie są lepsze – przyznaje Chan Sze Wan z SACOM. – W 2006 roku sprawdziliśmy fabrykę Huang Xin, w której dochodziło do wielu wypadków przy pracy, bo maszyny nie miały odpowiednich zabezpieczeń. W odpowiedzi na nasz raport Disney po prostu zerwał kontrakt z Huang Xin. Robotnicy byli na nas wściekli, mówili, że stracili przez nas pracę.

Nic dziwnego, że chińskie fabryki niechętnie wpuszczają zachodnich obserwatorów. Jedyna, która się zgodziła – oddział Jetta Group w dystrykcie PanYu w pobliżu Shenzhen – obwarowała swoją gościnność drakońskimi obostrzeniami. Nie mogą robić zdjęć ani rozmawiać z pracownikami. – Jeśli złamiesz ustalenia, zakończymy pokaz – mówi stanowczo mój przewodnik Stefan Garsdal, dyrektor generalny Lego Hongkong.

Fabryka jest ogromna. Teraz pracuje w niej 9,5 tysiąca ludzi. Tylko 9,5 tysiąca, bo w okresie przedświątecznym ich liczba wzrasta do 12 tysięcy. Mają co robić; Jetta jest jednym z głównych producentów zabawek dla Lego, Duplo i Mattel. Nie spodziewam się sensacji. Gdyby kierownictwo miało coś do ukrycia, nie zgodziłoby się na wpuszczenie zagranicznych gości. Ale i tak zastanawia mnie kilka rzeczy.

Ogromna kantyna, boiska do koszykówki, skwer z ławkami, plac ze stołami do ping-ponga, świetlica, bar karaoke, biblioteka i czytelnia – wszystko świeci pustkami. – Jedna zmiana pracuje, a druga odpoczywa – wyjaśniają przedstawiciele Jetty. Ale w hotelu robotniczym, gdzie możemy obejrzeć jeden z pokoi, również jest pusto.

Liczy się wydajność

Na 20 metrach kwadratowych stoją cztery trzypiętrowe prycze. Gospodarze zapewniają, że najwyższe piętra łóżek są wolne. To znaczy, że w pokoju mieszka nie 12 osób, ale 8. Wychodzi nieco ponad dwa metry na pracownika – standard jak w polskim więzieniu. A przecież zwiedzam fabrykę, z której właściciel jest dumny. Najbardziej dumny jest jednak z tego, że pracownik nie musi robić po godzinach, żeby dostać pensję minimalną.

– Dlaczego nie płacicie im więcej? – pytam. – Dlaczego ustalone centralnie najmniejsze wynagrodzenie jest jednocześnie największe? – Oszczędność – wyjaśnia Garsdal. – Gdybyśmy podnieśli płace, przestalibyśmy być konkurencyjni, wypadlibyśmy z rynku.

Wiem już więc, że robotnik lubi być wykorzystywany, bo dzięki temu ma mniej głodową pensję. I wiem, że pracodawca kantuje go na wszelkie możliwe sposoby wyłącznie dla jego dobra. Chińczyk ma pracę tylko wtedy, gdy jest tani.

– Nie ma już tanich Chińczyków – protestuje Garsdal. – W ciągu ostatnich 15 lat w naszej fabryce pensja minimalna wzrosła o sto procent.

Czyli z 200 do 400 złotych.

– Jesteśmy topową marką – chwali się Vincent Tam, jeden z dyrektorów Jetty. – Nie uciekamy się do cwanych sztuczek, żeby zaoszczędzić kilka centów. Wypełniamy wszelkie minima, a nawet je przekraczamy.

Krwiożercze koncerty

Wtajemniczenie w trzeci poziom piramidy wyzysku zdobywam na 18. piętrze biurowca w Hongkongu, gdzie mieści się przedstawicielstwo Disneya na Azję i Pacyfik. Działacze SACOM oraz aktywiści europejskiej kampanii Stop Toying Around organizują tam pikietę przeciwko łamaniu prawa pracy w fabrykach, które produkują dla Disneya. – Ścigamy ten koncert od kilku lat – mówi mi Chan Sze Wan. – Bezskutecznie. Odpowiedzialny za standardy pracy dyrektor regionalny Disneya Jim Leung jest wprawdzie przemiły, zapewnia, że przyjrzy się zgłoszonym przez nas nieprawidłowościom – ale na tym się kończy. Zatrudnieni u kontrahentów Disneya robotnicy nadal harują w skandalicznych warunkach, nie mają ciepłej wody, śpią na podłodze albo na wielopiętrowych pryczach i są zmuszani do brania nieprzepisowej liczby nadgodzin.

Dyrektor Leung nie daje na siebie długo czekać. Chan miała rację – jest przemiły i absolutnie odporny na pytania.

– Dziękuję państwu bardzo, na pewno starannie zbadamy wasze doniesienia – mówi.

– To dla pana nowość? – pytam.

– Jeszcze raz powtarzam: zawsze badamy takie doniesienia, tak będzie i tym razem – mówi spokojnie Leung.

– Ile czasu wam to zajmie?

– Tak jak powiedziałem: zbadamy te doniesienia starannie, zawsze tak robimy.

– Mamy nadzieję, że Disney wreszcie zareaguje i sytuacja pracowników się poprawi – woła Chan przez megafon.

– Proszę państwa – mówi Leung. – Dokładnie sprawdzimy wasze doniesienia.

– Jak długo to potrwa? – pyta Chan.

– To będzie zależało od tego, ile czasu nam to zajmie – odpowiada rezolutnie dyrektor.

Ten dialog przestaje mieć sens. Proszę Leunga o chwilę rozmowy na osobności. Chcę mu zadać dwa pytania, pozwolić spokojnie się wypowiedzieć. Dostaję zgodę. Mamy się spotkać za pięć minut na dole w recepcji.

Dyrektor zjawia się punktualnie. – Niestety, jedyne, co mogę zrobić, to zapewnić, że dokładnie sprawdzimy informacje, które dostaliśmy od uczestników protestu.

Już z Warszawy piszę do niego e-mail z pytaniem o to, czy Disney zajął się sprawą. W imieniu Leunga odpowiada niejaka Allana Hall-Smith (zakładam, że to jego asystentka): „Zawsze dokładnie sprawdzamy doniesienia o łamaniu praw pracowników. W odniesieniu do sprawy, którą pan poruszył, wysłaliśmy naszych kontrolerów, którzy potwierdzili niektóre zarzuty. Tam, gdzie doszło do naruszenia przepisów, rozmawiamy z odnośnymi stronami. Współpraca jest dobra, dzięki naszym kontrolerom udaje się nam monitorować postęp. Mam nadzieję, że uznaje pan tę odpowiedź za satysfakcjonującą”. Odpowiedziałem, że oczywiście nie uznaję, bo jest zbyt ogólnikowa, ale na to reakcji już nie było.

Na 18. piętrze biurowca w Hongkongu zaczynam rozumieć Stefana Garsdala z Jetty. Kontrahenci wielkich koncernów, jak Lego czy Disney, muszą pracować dużo i tanio – bo w przeciwnym razie stracą zamówienie. Dociera również do mnie, że koncerty nie chcą tego zmieniać, bo to oznaczałoby wzrost cen zabawek. Ważne jest tylko to, by ten brzydki układ wyglądał jak najładniej.

Zachłanny Chińczyk i skąpy klient

Szwajcarka Marie-Claude Hessler-Grisel jest przesympatyczną starszą panią w wielkich czerwonych okularach. Nikt by nie zgadł, że ta prawniczka od prawie 15 lat jest zmarą Mattel – jednego z największych zabawkarskich koncernów na świecie, producenta słynnego duetu Barbie i Ken. – W 1996 roku jako pracownik małej francuskiej organizacji pozarządowej napisałam do Mattel list w sprawie łamania przez ten koncern chińskiego prawa pracy – wspomina Grisel. – Mattel odpowiedział, że nic podobnego, że mam złe informacje, bo firma działa bez zarzutu. Identyczne odpowiedzi dostawałam kiedyś od afrykańskich kacyków jako aktywistka Amnesty International-. Kupiłam więc akcje Mattel i jako współwłaścicielka mogę brać udział w dorocznych zebraniach akcjonariuszy. Mam wtedy swoje sześć minut, w trakcie których mogę zadać trzy pytania.

Mattel przyjął akurat (był rok 1997) kodeks etyki i był z niego bardzo dumny. Jako pierwszy koncern powołał niezależnych kontrolerów. Podsumowania ich raportów zamieszczane w Internecie czytało się przyjemnie, ale – jak mówi Grisel – lektura całości odsłaniała całą obłudę firmy. – Wszystko było dobrze – ironizuje akcjonariuszka – z wyjątkiem godzin pracy, wynagrodzenia, temperatury. A przecież to były raporty, które dotyczyły tylko fabryk spod szyldu Mattel. Gdy kontrolerzy zbadali, jakie warunki panują u kontrahentów, byli przerażeni. Wtedy zaczęli głośno krytykować koncern.

Zbyt głośno. W 2008 roku Mattel zlikwidował komisję. Jego przedstawiciele wyjaśniali, że nie jest już ona potrzebna, bo koncern ma certyfikat Międzynarodowej Rady Przemysłu Zabawkarskiego (ICTI). Certyfikat ICTI może mieć praktycznie każdy i praktycznie każdy go ma. Rada rozdaje go na lewo i prawo.

Certyfikaty dzielą się na cztery kategorie, przy czym każda z nich jest de facto nagrodą za niezbyt rażące łamanie prawa. Kategorię A (najlepszą) dostają te fabryki, w których tygodniowy czas pracy nie przekracza 66 godzin (chińskie prawo dopuszcza 40). Kategorię D – fabryki, które są na bakier ze wszystkimi przepisami, ale chciałyby dołączyć do elity.

Szef ICTI Christian Ewert zdaje sobie sprawę, że system przyznawania certyfikatów pozostawia wiele do życzenia, ale przyznaje, iż nic nie może na to poradzić. – Problemem są nie tyle same fabryki, ile koncerny, które zlecają im produkcję – mówi Ewert. – Jesteśmy wobec nich bezsilni.

Ewert nie zgadza się jednak na to, by za wszystko winić Mattel, Disneya czy Lego. Jego zdaniem nie byłoby tego łańcucha wyzysku, gdyby nie jego pierwszy i ostatni element – pazerny chiński robotnik, który zrobi wszystko, żeby dostać więcej pieniędzy, i klient, którego interesuje tylko cena.

W pierwszym punkcie Ewert ma rację – chiński pracownik weźmie dowolną liczbę nadgodzin, by związać koniec z końcem. W drugim punkcie prawdopodobnie jej nie ma – z sondaży przeprowadzonych w Polsce, Austrii i we Francji wynika, że klient jest gotów zapłacić nawet kilkanaście procent więcej za zabawki wyprodukowane w normalnych warunkach. Ale nawet gdyby klienta faktycznie interesowała tylko cena, to nie on ją dyktuje, lecz koncerny. Przeciętna Barbie kosztuje w sklepie 50 złotych. Do robotników trafia średnio jedna setna tej sumy. Resztę inkasują właściciele fabryk, licencjodawcy i sprzedawcy. Jeśli oni niczego nie zmieniają, pazerny chiński robotnik wciąż będzie musiał się zaharowywać na śmierć, a 99 procent pieniędzy wyłożonych w sklepie z zabawkami pójdzie do tych, którzy mu to umożliwiają.

Mało to zabawne.

Rafał Kostrzyński, Chiny
„Przekrój” 49/2010

Copyright © 2005-2010 Wydawnictwo "Przekrój" sp. z o.o.